

# Krzysztof Muszkowski

---

## Rozmowy przy perliczce

---

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 1-2 (7-8), 263-267

---

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# ROZMOWY PRZY PERLICZCE

**Krzysztof MUSZKOWSKI (Wielka Brytania)**

Wszystkie rozmowy ze Stefanią Kossowską miały swoje specyficzne tło. Nie wszystkie były przy perliczce, ale ta jedna, specjalna, kiedy mówiła ona o sobie i o tym co jej było bliskie w życiu, była właśnie przy perliczce. W ciągu lat naszej znajomości a potem przyjaźni, były też rozmowy przy winie, przy kawie, przy herbacie i przy wodzie sodowej z malinowym sokiem. Wydawało mi się jednak właściwe by wszystkim naszym rozmowom — a każda była specjalna — dać ogólny tytuł „rozmów przy perliczce”. Poza najbliższymi, niewiele osób wiedziało, czy wie, o kulinarnych talentach tej pisarki, ostatniej redaktorki londyńskich „Wiadomości”, publicystki, erudytki literackiej i dziennikarskiej, entuzjastki młodych, „dobrze się zapowiadających” adeptów pisarskich, wszelkich żółtodziobów klekających wiersze i tych, trochę poważniejszych pracowników drukowanego słowa, kronikarzy i historyków uprawiających sztukę wyboru materiałów do antologii. Otóż jej talenty kulinarne wybiegały kunsztem, smakiem, niekiedy perfidią łączenia smaków, a nade wszystko poetycką wyobraźnią, ponad wszelkie podręczniki kucharskie: polskie, francuskie, włoskie, czasem aż szwedzkie (a miała ich wiele). Wszystko miała w głowie i w smaku, jak malarz na palecie. Bo danie musiało być idealne nie tylko w smaku. Musiało mieć odpowiedni bukiet wonny, harmonię barw i łagodną proporcję płynu w stosunku do całości. Co wreszcie niemal równie ważne, powinno zajmować centralne miejsce na porcelanie zostawiając na niej wolne marginesy. Tak jak delikatna rama na pełnym kunszcie obrazie. Ta świetna obserwatorka życia twórczego, jak i tego codziennego, bez emigracji i na niej, rozumiała ludzką potrzebę obu w równej mierze. Tylko tak widziała pełnię życia.

Znajdą się w tym wspomnieniu fragmenty tych rozmów. U niej w domu, w Ognisku Polskim w Londynie, w polskiej restauracji Dakowskiego „Daquise” przy stacji South Kensington, czasem na zebraniach Jury Nagrody Polskiej Fundacji Kulturalnej im. Edwarda Raczyńskiego za najlepszą książkę roku w języku polskim, wydaną w kraju lub na emigracji, w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego. Nasza pierwsza rozmowa przy perliczce miała miejsce w jej londyńskim domu we wczesnych latach osiemdziesiątych. Wkrótce po zamknięciu „Wiadomości” (1981). Był to obiad proszony na dwie osoby. Gospodyni i ja. Idąc ze mną tego dnia na górę po długich stromych schodach do kuchni-badalki, opowiedziała mi z dokładnością literacko-gastronomiczną cechy specjalnego boczkni z wybranego sklepu, którym, jak jedwabnym szalem, ochroniła perliczkę od nadmiernego przypalenia. Mówiła o temperaturze i o tym jak boczek, lekko podkropiony calvadosem przyciąga zapach perliczki i laskocze jej pierś dając jej magiczną

kruchosc. „Wiesz”, mowila, „ten calvados to rzeczywiŝcie wykwiŝt delikatnoŝci. Tak jakby flirtował z perliczką zza framugi. Taki delikatny...”. Tak jak znała się ŝwietnie na jedzeniu i na calvadosie, co do wina miała zdecydowanie powaŝne braki w edukacji. Ale lubiła je namiŝtnie. Niestety, choć je częŝto popijała, nawet sama, zatykała butelką korkiem i trzymała na stoliku w kuchni-jadalni aŝ do następnego okazji. Piła je w małych dozach, co nie bardzo słuŝyło ani trunkowi, zwykle doŝć zwykłemu Beaujolais Village, ani smakowi. Nie robiło jej to różnicy. Piła kaŝde wino ze smakiem i właŝnie takie sprawiało jej przyjemnoŝć. Nie wierzyła w wielkie marki. Wierzyła, ŝe kaŝde wino jest dobre bo jest winem. Francuskie czy włoskie, czy reńskie, bylo to jej obojętne. Wino to był w jej duchu romantyzm, literatura, sztuka, filozofia i poezja. No i wino przynosiło dobry humor, choć czasem tylko na chwile. Ale cóŝ to za chwila?...

Najpierw był aperitif czyli jej ulubione campari z wodą sodową i z plasterkiem cytryny, bez lodu. Do tego słoŝne paluszki z serem. Krzątała się po swojej małej kuchence, zaglądając co chwila do pieca. Tam ŝumiało zachęcająco. W czasie krzątania mowila o pamieŝnych smakach z wielu podróŝy zagranicznych z męŝem Adamem. O smakach francuskich, włoskich, słoŝkich zapachach z Tunisu, porównując je do smaków polskich. Potem byla perliczka. Do niej okrągłe oplatki kartofelków *sauté*, buraczki ze słoninką i mus z jabłek. Jak zawsze Stefa Kossowska mowila szybko, dokładnie wymawiając słoŝwa. Jej sposób mówienia i akcentowania waŝniejszych wyrazów, kształt jej ust wskazywał na temperament nie znoszący marnowania czasu. Zaczęliśmy oczywiŝcie od „Wiadomoŝci”.

Kiedy zmarł, po długiej chorobie, ich kreator i znakomity redaktor Mieczysław Grydzewski (1970), redakcję objął Michał Chmielowiec, a w czasie jego choroby i po jego ŝmierci, objęła je juŝ samodzielnie jako pełna redaktorka, choć po wielu latach bliskiej współpracy z piŝmem i przyjaźni z Grydzewskim. Była teŝ blisko zaprzyjaźniona z całym ŝrodowiskiem piŝma. „Miałam wiele strachu — mowila — i różnych wątpliwoŝci. A jednoczeŝnie czułam ŝe spotkał mnie wielki zaszczyt. Samodzielna redakcja! Mogłam sama decydować! Ale jak zareagują na moje rządy autorzy przyzwyczajeni do literackiego dyktatora Grydzewskiego, którego erudycja zniewalała niemal ich wszystkich. Nawet ci wybitni, wyroki jego przyjmowali bez zająknienia?” Miała obawy i uczucie niepewnoŝci właŝnie przed tym tak zwanym ŝrodowiskiem „Wiadomoŝci”, bo wiedziała ŝe czyhało na nią wielu konkurentów, doradców, krytyków kaŝdego jej kroku, i co moŝe najtrudniejsze, ciągle niepewna sytuacja finansowa piŝma. Jak się okazało, strach ten nie był zupełnie bez podstaw. Po jakimś czasie — opowiadała — przyzwyczała się do uznania trudnoŝci codziennych jako godnych zachodu. Doznała dowodów wielkiej ŝyczliwoŝci od autorów i czytelników. No i nauczyła się boksować doŝć skutecznie z tymi doradcami, którzy mieli jakiś właŝny interes, zwykle domniemany, ambicyjny czy finansowy, w prowadzeniu piŝma. „To juŝ historia, więc nikomu to nie zaszkodzi — mowila — ówczesny zespół «Dziennika Polskiego i Dziennika ŝołnierza», a specjalnie przyjaciel «Wiadomoŝci» Juliusz Sakowski, miał ambicję i wizję, utworzenia jednego «skrzydła» prasy polskiej”. Związane z tym były powaŝne — jak na ówczesne polskie stosunki w Londynie — kwestie finansowe. Trwało to doŝć długo aŝ się samo załamało i juŝ niedługo potem redaktor i poradcy zaczęli myŝleć o zakoŝczeniu wydawnictwa. Zaczęły piętrzyć się trudnoŝci w postaci zwiŝzek cen papieru, cen druku, oplat pocztowych (wielu stałych prenumeratorów — wszystkich zawsze wiernych i lojalnych — bylo w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie), ale nade wszystko, bo taki jest porządek rzeczy, ubywało stopniowo czytelników. Zmieniały się pokolenia.

Zapytałem kiedyŝ: „A kogo w tym czasie uważałaś za najwaŝniejszego i najbardziej pozytywnego doradcę i opiekuna «Wiadomoŝci»?”. „Bezsprzecznie Edwarda Raczyńskiego” — odpowiadała bez wahania. Poza nim, w tej plejadzie bliskich przyjaciół pi-

sma, nie tylko współpracowników-pisarzy, uważała, że nie sposób poprzestać na jednej osobie. Było tych osób wiele. Z opiekunów których określała jako „praktycznych” czyli finansowych, ci pierwsi to Jan Badeni, Feliks Łaski, Aniela Mieczysławska-Raczyńska, Tadeusz Walczak i Tadeusz Zabłocki. Ze strony byłego rządu polskiego w Londynie, Witold Czerwiński.

Częstym tematem naszych rozmów byli poeci i pisarze. Było nietaktowne pytać ją o to, który lepszy, a który gorszy. Drukowała ich większość i miała ze wszystkimi dobre stosunki. Sprowokowana do upodobań prywatnych lubiła anegdotki i wtedy wyjawiała swoje warunki na to czy byli bliscy czy nie bardzo bliscy. Najbliższym jej sercu, literacko i uczuciowo, był poeta Zbigniew Herbert. Mówiła o nim z wielkim zrozumieniem jego poezji i ze świadomością, że jego poezje przetrwają, bo mają w sobie najprostszą prawdę, którą tylko poetycko można wyrazić. Bo tylko w poezji prawda nie wymaga komentarzy. Najbliższym jej pisarzem był Jan Kott, który wzruszał ją niezmiennie swoją bystrą inteligencją, swoim specyficznym językiem i swoją spontaniczną przyjaźnią. Nie знаła go przed wojną. Kiedy po raz pierwszy przyszedł do redakcji „Wiadomości” w Londynie, byli od razu na „ty”, od pierwszego spojrzenia, bo kiedy otworzyła mu drzwi, krzyknął „Stefa!”. I tak się zaczęła dożgonna przyjaźń i bliska łączność korespondencyjna zakończona jego śmiercią.

Jako redaktorka „Wiadomości” i później, przez lata redaktorka „Środy Literackiej” w londyńskim „Dzienniku Polskim”, którą objęła po Stanisławie Balińskim, kontynuatorka dorocznej Nagrody „Wiadomości”, najważniejszego wydarzenia literackiego na emigracji, Kossowska miała dobre oko do młodych pisarzy. Nie tylko na emigracji, ale i w kraju. Nic nie sprawiło jej większej radości niż odkrycie nowego talentu literackiego. Często mówiła o „swoich chłopcach” w Polsce. Oczywiście już w czasach, kiedy kontakty były bardziej otwarte i kiedy zaczął dojrzewać klimat niezależności. Był to klimat, jak sama mówiła, delikatny, dla wielu ciągle niebezpieczny, czasem nawet, z punktu widzenia emigracji, trudny do zaakceptowania, trochę jak młoda roślina o nieznanej nazwie. Niemniej wymagała poparcia. Ci młodzi wymagali nie tylko poparcia. Szukali informacji. Szukali historycznej prawdy, byli spragnieni rzetelnej wiedzy o emigracji. Jednocześnie mieli w kraju łakomy rynek na tę wiedzę często systematycznie i dogmatycznie przeinaczaną. W sumie, z tych pierwszych, to m.in., Mirosław A. Supruniuk, Rafał Habielski, Paweł Kądziela, Sławomir Nicieja, Janusz Kryszak, Jarosław Koźmiński.

Było też sporadycznie kilku innych. Wszyscy oni bywali w jej domu, wszyscy mieli swobodę rozmowy „w czterech ścianach” i „w cztery oczy”, wszyscy, bez wyjątku, po bliższym poznaniu i po nabraniu zaufania do „bezpieczeństwa” słowa mówionego, łapczywie zbierali emigracyjne plotki, już nie tylko literackie, ale też wszelkie pikantne detale o personaliach polskiego Londynu.

Nasze rozmowy z konieczności często wracały do osoby niezwyklego redaktora „Wiadomości”. Byliśmy oboje z nim związani. Stefa jako częsta autorka, ja jako sekretarz redakcji przez prawie pięć lat po odrodzeniu pisma w kwietniu 1946 r. Lubiliśmy o nim mówić i wspominać różne jego sympatyczne i czasem śmieszne dziwactwa, jego pedanterię, korekty, poprawianie najznakomitszych pisarzy, jego pasję przestrzegania poprawności języka polskiego. Nikt inny chyba w ostatnim stuleciu nie dbał tak gruntownie o styl, jasność i czystość języka od obcych naleciałości. Kossowska była z Grydzewskim jak równa z równym. Ja, jako młody czeladnik żyłem w strachu i w jego cieniu, choć był to wspaniały fakultet na emigracyjnym uniwersytecie życia. Kiedy mówiłem, że była z Grydzewskim jak równa z równym, miała dobrą odpowiedź: „Nie tak bardzo równa, bo też w strachu kiedy się unosił nad niejasnym tekstem. Jego aura sięgała daleko i był ode mnie dużo starszy. Należało mu się posłuszeństwo”. I tak mogliśmy bez końca gawędzić o tym człowieku, który postawił literaturę polską na emigracji na należą-

nym jej poziomie. W obejściu Grydz, jak żeśmy go wtedy wszyscy nazywali, miał wielką kurtuazję. Zgadaliśmy się z Kossowską co do tego, że... wybaczyliśmy mu wszystkie poprawki tekstów, niekiedy zmiany, bo uznawaliśmy, że w większości miał rację. A doświadczenia przybywało. Zgadaliśmy się też, że miał gołębie serce i ostry pazur redaktora. Był nielitościwy w korekcie, niecierpliwy w rozmowie, specjalnie długiej, z autorami, którzy starali się usprawiedliwiać popełnione błędy, nieublagany w wyrzucaniu „niepotrzebnych” przymiotników. Żył w ciągłym pośpiechu, ale zatrzymywał się w pół kroku na dobrą plotkę, niekoniecznie dyskretną, o znanym pisarzu, polityku czy aktorze. Stefa twierdziła że bała się go na początku. Potem coraz mniej. Ale nauczył ją — mówiła — bardzo dużo. Fakt, że po nim i po Chmielowcu prowadziła „Wiadomości”, uważała za coś w rodzaju zawodowego awansu. Trudno mieć wątpliwości, że Grydzewski uznałby jej redaktorstwo za kontynuację jego wspaniałego dzieła.

Dawka codziennej plotki podtrzymywała ducha intelektualnego życia londyńskiej emigracji w czasie wojny i po wojnie. W zwykłej codziennej rozmowie pomiędzy przyjaciółmi — tak jak w przedwojennej Warszawie — plotka o wspólnych znajomych to konieczny zastrzyk energii. Wszystko oczywiście w dyskrecji. Te atrakcyjne drobiazgi, towarzyskie rodzinne, to znak, że wszyscy mamy podobne słabości. Kossowska miała duży talent w „redagowaniu”, jak myśmy to nazywali, usłyszanych plotek. Bawiły ją i lubiła je słyszeć. Ale, nie daj Boże, jeśli dotyczyły osoby jej bliskiej, wtedy zmieniała tekst. Broniła charakteru tam, gdzie uważała, że wiadomość była niesprawiedliwa albo wręcz obraźliwa. Parokrotnie poruszaliśmy w rozmowach jej serdecznego przyjaciela, Ksawerego Pruszyńskiego i jego nagłą śmierć w wypadku samochodowym w roku 1950, w wieku 43 lat, w drodze z Hagi do Polski. Pruszyński był dobrze znany w polskim Londynie jeszcze sprzed wojny, jako pisarz i dziennikarz dużego talentu. Jego świetna publicystyka drukowana była często w warszawskich „Wiadomościach Literackich” Grydzewskiego. Działalność tę kontynuował w Londynie, w „Wiadomościach” i innych pismach. Popularna była wtedy jego książka *Droga wiodła przez Narwik*, opisująca udział wojsk polskich w kampanii norweskiej. Pruszyński jako człowiek i jako pisarz był duchem niespokojnym. Miał w sobie tętniącą energią motor działania. Tak się stało, że wbrew wszystkiemu wrócił do kraju. Stał się dyplomatą reprezentującym Polskę w Holandii. Jego nagła tragiczna śmierć okryta była siecią sprzecznych informacji. Tak to bywa w takich wypadkach. Kossowska niezmiennie utrzymywała, że wypadek nie był wypadkiem. O ile wiadomo, sprawa nie została nigdy całkowicie wyjaśniona. Kossowska zawsze uważała Pruszyńskiego za człowieka honoru. Tak jak jego koledzy i przyjaciele. Utrzymywała, że nie było w jego stylu by w sytuacji w jakiej była wówczas Polska, zmienić się z emigranta w obywatela swego kraju i to dyplomatę, bez jakiegoś „wielkiego planu” ratowania ojczyzny, będącej w niebezpieczeństwie. I, że Pruszyński to właśnie przypłacił życiem. To, że był dla ówczesnego reżymu w Polsce osobą zarówno ważną, jak i tajemniczą, trzeba przyjąć jako pewnik.

W naszych rozmowach przewinęło się wiele nazwisk znanych i mniej znanych. Pisarze, politycy, generałowie, artyści i dużo osób mniej znanych, z których każda miała ciepłe miejsce w jej sercu. Wymienię tu jedną parę, Annę i Mirosława Adama Supruniuków. Bo od momentu powstania Archiwum Emigracji w Bibliotece Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, oboje byli na ustach Stefy Kossowskiej niemal ciągle. Połączyły ich „Wiadomości” czyli załączek Archiwum Emigracji i przyjaźń osobista, której ramy objęły całość jej życia aż do końca. Z początku słynne „rozmowy o Supruniukach” bywały w różnej tonacji, z jednej strony nowy rozdział współpracy z krajem, a z drugiej emigracyjna niechęć przekazywania archiwów. Kossowska ostro broniła charakteru i honorowych intencji Mirosława Adama wobec pisarzy polskich na emigracji i instytucji emigracyjnych kurczowo trzymających się swoich archiwów przed jego nieograniczo-

nym apetytem na nie. Kruszyła kopie o to Archiwum, uważając, że tylko tam, w Toruniu, archiwa skatalogowane, uporządkowane i zabezpieczone przed zniszczeniem (były one głównie na papierze!), będą miały szansę przetrwania, bo tylko tam znajdzie się właściwy personel i właściwe pomieszczenie. Jej argumentem zawodowym, jako dziennikarki i pisarki, był dostęp do tych archiwaliów dla historyków, pisarzy i socjologów. Kossowska, może jedyna wtedy w Londynie, uważała, że jeśli archiwa nie są dostępne dla pracowników nauki, szybko tracą swoją wartość. Co do osoby Supruniuka, opierała się na jego profesjonalizmie, zawodowej precyzji i na jego pasji tradycyjnego kolekcjonera tego materiału historycznego, który uważał za istotny.

Literackim i dziennikarskim „generałem”, może nawet „hetmanem”, był w jej oczach Jerzy Giedroyc, redaktor „Kultury”. Mówiła o nim „tytan pracy”, ale innym tonem niż o Grydzewskim. Grydzewski był „warszawski”, ze znanego jej dobrze przedwojennego gruntu „Skamandra” i „Wiadomości Literackich”, politycznie niezależny, choć zbliżony do sanacji, nie znoszący niepotrzebnych kompromisów i łakomy na literackie kontrowersje. Lubił dobrą satyrę, nawet często osobistą byle nie ubliżającą. Giedroyc był „wileński”, mało przed wojną, jeśli w ogóle, znany, politycznie niezależny i bystry, uważał za dobry taki kompromis, z którego mogło wynikać coś dobrego dla Polski, kontrowersje literackie popierał, miał poczucie humoru, choć satyra, jeśli miała miejsce w „Kulturze”, musiała być dość głęboka intelektualnie. Kossowska podziwiała pracowitość Giedroycia tak samo jak pracowitość Grydzewskiego. To ich łączyło. Tak jak redaktorskie intencje bezwzględnej obrony prawdziwej polskiej racji stanu i namiętnego respektu dla literatury polskiej i języka, w którym żyła. Różniły ich tradycje, z których wyszli. W dziele ich życia nie były to różnice. Takie to było dzieło.

Muszę tu dodać rozmowy o indeksach. Stefa zaczynała oglądać każdą nową książkę od końca. Od indeksu. Beletrystykę oglądała od okładki i nie szukała w niej indeksu. Wszystko inne musiało w jej mniemaniu mieć indeks. Tam znajdowała albo zainteresowanie albo nudę. Jeśli indeksu nie było, uważała zarówno autora jak i wydawcę, za nieodpowiedzialnych, amatorów nie należących do intelektualnego parnasu. Tak się złożyło, że w roku 2002 wydawnictwo Norbertinum w Lublinie wydało moją książkę *Parasol angielski bez indeksu*. „Jak można?” — mówiła. Zostałem poważnie zbesztany. Nie miałem odpowiedzi. O żadnym usprawiedliwieniu nie było mowy. Żadnego by nie przyjęła. Oczywiście miała rację. To nie była pedanteria. To była dyscyplina zawodowego pracownika słowa, mistrza doskonałości publicystycznej. Cyzelowania wyrażonej w piśmie myśli, która ma początek, środek i koniec. I drogowskaz w postaci indeksu. To była dyscyplina literacka i życiowa Stefanii Kossowskiej. Rozmowy urwały się w parę dni przed jej śmiercią 15 września 2003 r. w podlondyńskim Antokolu. Zostały w sercu i w pamięci.

Londyn, październik 2004.